Pięć tysięcy róż — fanny

To nie był jej pierwszy związek, ale pierwsza miłość – i owszem.
Czy kobieta trzydziestodwuletnia może się zakochać do nieprzytomności i rzucić się w tę miłość jak Halka w potok? Otóż może, jeśli mężczyzna jest nieco przewrażliwiony, trochę nerwowy i odrobinę nieuchwytny (jest artystą!). Jeśli nie jest na każde jej skinienie. I jeżeli to wszystko stanowi dla niej nowość.
Dotychczas spotykała się z facetami uporządkowanymi, spokojnymi i solidnymi, z którymi czuła się bezpiecznie i którzy byli jak na jej gust aż nadto przewidywalni. Z prawnikami. Urzędnikami. A on jest malarzem!
Uważała, że w tych związkach brakuje fajerwerków i tego, co w powieściach o różowych okładkach nazywa się „tym czymś".
Teraz co wieczór dziękuje Bogu, że jednak „to coś" znalazła. Nie zdaje sobie sprawy (bo choć od lat gorliwie analizuje siebie, to tylko przekłada książki na półkach swojego umysłu, nigdy jednak ich nie otwierając), że „tym czymś" jest prosty brak pewności, ciągłe zagrożenie, że jutro on dojdzie do wniosku, iż życie nie ma sensu, albo że zrobi jej scenę zazdrości o maila sprzed roku (bo włamał się do jej skrzynki mailowej), albo że rzuci pracę. I ekscytująca możliwość, że odbierze ją z redakcji z biletami na samolot do Paryża, pod jej nieobecność przemaluje mieszkanie albo wyda połowę oszczędności na pięć tysięcy róż – prawie czarnych (każdy wie, oznaczają miłość do szaleństwa).
Są więc w końcu te wytęsknione fajerwerki, prawie bolesne uczucie, jakby przeniknął jej serce jeden tych laserowych mieczy z Gwiezdnych wojen. Namiętność tak mocna, że aż mdli i chce się płakać, porozumienie tak całkowite, że nie-do-uwierzenia.
A on brnie przez zaspy, żeby zobaczyć ją przez 15 minut, zabiera ją motocyklem na wieś przed wschodem słońca, włamuje się z nią do Łazienek o północy, słucha jej nawet, powściągając swój naturalny egocentryzm. Naprawdę, chwilami słucha jej całkiem uważnie!
Bo wydaje mu się piękna i mądra, bo rozmawiają ze sobą tak szczerze, bo go nie ocenia, bo ma ciało, które doprowadza go do szaleństwa. Ale może najbardziej dlatego, że zostawiła sobie (zrobiła to tylko z rozsądku, wbrew sobie, ale udało się!) malutki kawałeczek siebie. On wie, że jako pierwsza nie wybaczy mu wszystkiego, że nie opowie mu każdej swojej myśli i nie poświęci się dla niego bezgranicznie. Zrobi dla niego dużo, ale gdzieś w sobie ma jakiś okruch szacunku do samej siebie, maleńki bastion, mini-Gibraltar. A jeśli nawet nie szanuje samej siebie, to będzie się zachowywać tak, jakby szanowała. Więc i on ją szanuje i pamięta, że nie może przeciągnąć struny.
I tak mijają tygodnie i miesiące – life is a roller coaster, adrenalina, stopy piętnaście centymetrów nad chodnikiem, życie jak taniec (po dopalaczach) na słonecznej łące, gwałtowne burze tylko wzmacniają amok.
I nagle, tak bez zapowiedzi –
Pewnego dnia ona wraca do ich maleńkiego M-2 (zamieszkali ze sobą po trzech tygodniach znajomości, byli t a c y p e w n i, że już zawsze będą razem, więc po co bawić się w konwenanse?), a on wychodzi z kuchni z ponurą miną i mówi cicho:
- Jak mogłaś mi to zrobić?
Ona myśli, że to początek kolejnej sceny z powodu maila sprzed roku, że wyjaśni mu wszystko w godzinę albo dwie, a potem pójdą do łóżka, jak zawsze po kłótni. Nabiera powietrza – i wtedy:
- Dlaczego jesteś przeciwko mnie? Czy oni cię nasłali?!
Zaczyna się straszna rozmowa, jest coraz bardziej przerażona, jej tłumaczenia tylko go rozwścieczają, patrzy na nią nieprzytomnie i –
Popchnął ją wtedy na wieszak. Stary, drewniany wieszak, obwieszony płaszczami, które zamortyzowały jej upadek.

Przemoc? O, nie. Stop. W dzieciństwie była bita przez starszego brata. Od trzeciego do piętnastego roku życia nie potrafiła powiedzieć „nie” ani nawet komukolwiek się poskarżyć. Brat w zabawie wykręcał jej ręce, przez przypadek zgniatał jej ulubione zabawki, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności wylewał oranżadę na rysunki, z których była dumna, pluł jej w twarz, kopał w plecy, straszył w nocy, podglądał w łazience. Wszystko to były tylko szczeniackie zabawy, niewinne figle. Nie rozumiała tego jednak i dwa miesiące po swoich piętnastych urodzinach, kiedy ją gonił z pękiem pokrzyw, z całej siły uderzyła go przeszklonymi drzwiami tarasu. Przypadkiem, oczywiście. Kiedy wzywano pogotowie, a on darł się, że zrobiła to specjalnie (obficie plamił przy tym parkiet krwią), nikt w to nie uwierzył. Stała w przedpokoju i spokojnie patrzyła na jego zakrwawioną twarz, na zmasakrowaną skórę wokół lewego oka. Założono mu szesnaście szwów, udało się uratować oko. Nigdy więcej jej nie dotknął. I jakkolwiek banalnie to brzmi, tamtego wieczora, kiedy erka wiozła go na ostry dyżur, obiecała sobie, że już nigdy nikomu nie pozwoli się skrzywdzić.
Teraz więc, prawie osiemnaście lat później, wyplątuje się z płaszczy, wstaje i chłodno patrzy na mężczyznę. On już otrzeźwiał i wpatruje się w nią z przerażeniem.
- Nigdy więcej tego nie rób – mówi ona cicho. – Jeśli to zdarzy się jeszcze raz… (to co? Odejdzie? Trzaśnie go przeszklonymi drzwiami? Kiedy zaczyna umierać miłość?)
Przez kilka tygodni on chodzi na palcach i patrzy jej w oczy wzrokiem psa, który pogryzł kapcie pani, a potem nasikał na dywan. Ona zachowuje dystans, jest smutna i ostrożna. Nie zapytała, o jakich „ich” chodziło, wieszak wyparł z jej pamięci całą poprzednią scenę. Kiedy wszystko wraca do normy (o, miłość potrafi nie tylko wybaczyć, ale wręcz zapomnieć naprawdę wiele), znowu „ty i ja to cały świat, niczego nie potrzebuję, kiedy jesteś ze mną”, on nagle dostaje ataku paniki. Trzęsie się jak osika, mamrocze o „nich” i popłakuje. Ona nie potrafi z niego wyciągnąć, o co chodzi, jest bezradna. Ukołysany przez nią jak dziecko w końcu zasypia. Następnego dnia rano jest opryskliwy, ucina próby rozmowy o poprzednim wieczorze. Odtąd przestaje malować, zachowuje się nieufnie, unika jej. Nie wpada już do niej do pracy, nie żartuje, nie przytula. Ona chudnie ze zmartwienia i szuka psychologa. On na wzmiankę o psychologu dostaje szału. Ona osadza go zimnym spojrzeniem, ale nocuje u koleżanki. Kiedy przychodzi do domu nad ranem, on śpi na podłodze z nieumiejętnie podciętymi żyłami.
Schizofrenia. Czy opowiadać dalej? Nie chcę. To historia złudnych nadziei, niepotrzebnych starań, krótkotrwałych remisji i bolesnych rozczarowań. Niedotrzymywanych obietnic, spłukiwanych w sedesie leków i cierpienia dwojga osób. Nie patrzcie na niego, zamkniętego w izolatce i krzyczącego, że jest prześladowany. Ani na nią, jak idzie szara ulicą, wolna w końcu, ale już bez serca. Wolę, żebyście zapamiętali pięć tysięcy róż, którymi zarzucił dla niej mieszkanie. Drogie panie, czy ktoś kupił wam kiedyś pięć tysięcy róż? Ciemnoczerwonych.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

fanny, dodano 30.01.2011 17:54

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.